

Byłem człowiekiem – nie polecam!

Miejskie ziółka, rez. Natasza Sołtanowicz, Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu



Henryk Mazurkiewicz ⓘ

aA aA aA



fot. HaWa

„Od dawna szykuje się klimatyczny koniec świata” – mrużąc oczy, przestrzega Marc Maron. „Wszyscy to wiemy, ale nie martwimy się tym zbyt, bo w głębi serca jesteśmy przekonani, że zrobiliśmy wszystko, co się dało”. Marc Maron, gdyby ktoś nie wiedział, to – jak sam żartuje – „średnio” znany amerykański aktor, pisarz, scenarzysta i podcaster. A w tym przypadku przede wszystkim komik, dlatego publiczność na podobną refleksję przewidywalnie odpowiada chichotem. „Prawda? Tak było. Sami pomyślcie. Przynosiliśmy własne reklamówki do supermarketu...” – kontynuuje z delikatną zgrywą, która wzbudza jeszcze żywszą reakcję zebranych. Zwłaszcza kiedy po tych słowach najpierw robi pauzę, jakby przygotowując się do kontynuacji imponującej listy ludzkich zasług, a po chwili nie tyle kapitułuje, co z westchnieniem podsumowuje: „Tak, to tyle”. Teraz słyszymy prawdziwe salwy śmiechu. „No cóż” – nie ustaje stand-uper i przechodzi do tonacji sarkastycznej – „okazało się, że to nie wystarczy”.

Kiedy w Opolu oglądałem *Miejskie ziółka*, natychmiast przypomniałem sobie zarówno ten monolog, jak i cały występ pod znamiennym tytułem *End Times Fun*. Świat przedstawiony spektaklu też jest światem końca czasów czy raczej końca człowieka, dla którego tak ważnym było jego staranne odmierzenie. Ale znacznie ważniejsze podobieństwo polega na tym, że mimo sporej dawki humoru, zabawy i groteski, nastrój, z którym opuszczamy salę, bliski jest melancholijnej zadumie nad kondycją współczesnego człowieka i niezbyt optymistycznymi wizjami jego przyszłości. W tym też nad tą, którą wymyśliły Joanna Kowalska (scenariusz i teksty piosenek) i Natasza Sołtanowicz (reżyseria i muzyka). Wizja ta jest osobiwa, poetycka w swym symbolizmie i na swój sposób piękna. Co wcale nie przeszkadza jej być jednocześnie zatrważającą, ponurą i groźną. Spektakl, podkreślam ponownie, całkiem sprawnie łączy oba te rejestry emocjonalne.

Jeszcze tego nie wiemy, ale w pierwszej scenie przenosimy się do 2267 roku, czasów ostatecznego upadku ludzkości, której głowy już nie zdobi wieniec najpotężniejszego gatunku planety. Nadeszły wieczne lato, dżungla i wilgoć. Ziemię ponownie, jak u zarania dziejów biosfery, podbiły i w pełni opanowały rośliny. W jaki sposób do tego doszło, właściwie się nie dowiemy. Zresztą nie musimy znać szczegółów, ponieważ z wielce zastanawiającą lekkością jesteśmy w stanie dopowiedzieć sobie co najmniej kilka możliwych wersji wydarzeń.

Trójka ocalańców, ukrywająca się w skonstruowanym przez scenografkę Marianę Syską dość umownym podziemnym bunkrze, z braku lepszych opcji zgadza się na ostateczną i radykalną metamorfozę. Ma roztopić się w zielonych szeregach zwycięskiej flory, na zawsze stając się ich nieodłączną częścią. *Miejskie ziółka* to swego rodzaju kronika tego powolnego procesu przeistaczania się. W ciągu siedemdziesięciu minut Joanna Osyda, Karol Kossakowski i Kacper Sasin czule żegnają się ze swoim poprzednim wcieleniem („Byłem człowiekiem – nie polecam!”) i przyzwyczajają do zupełnie nowej, nieznanego, roślinnej egzystencji. Urządzają rytuały przejściowe i nie bez drwiny wspominają przodków, po których pozostał jedynie ślad węglowy.

Wszystkie te żale, pretensje, pragnienia i marzenia raz za razem przybierają formę piosenek. W spektaklu nazbierało się ich na cały okazały album; różnorodny w swej formie i treści. Od postapokaliptycznego rapu po reinterpretację motywów indiańskich. Przy czym nieraz do podobnych przeskoków dochodzi na przestrzeni jednego utworu. Nie są to może przeboje, które będziecie nucić po przedstawieniu przez najbliższe tygodnie, lecz większość numerów muzycznych miało w sobie coś, co sprawiło, że oglądałem i słuchałem ich z zaciekawieniem. Dzięki staraniom odpowiedzialnego za przygotowanie wokalne Tomasza Leszczyńskiego cała trójka wykazała się niezłą formą wokalną. Choreograficzną zresztą też, co w dzisiejszych czasach kwalifikuje się jako niebagatelne osiągnięcie.

Kiedy nikt nie śpiewa lub nie dzieli się przemyśleniami, na scenie zapada cisza. Aktorzy przez dłuższą chwilę celebrować błogie nicnierobienie. Opalają się, spryskują siebie spryskiwaczem lub podlewają z plastikowej konewki. Jednym słowem – wegetują. A co właściwie mają robić? Ziemia przecież nie jest już miejscem „dla rozumu, tylko do

Szukaj w serwisie

Szukaj

POWIĄZANE TEATRY



Teatr im. Jana Kochanowskiego

PRZECZYTAJ TEŻ



Janusz Majcherek

Zrządność i przekora: „Jak ślicznie, lekko tańczysz pan!”



Dominik Gac

Hucpa z grzybnią



Mirosław Kocur

Faust w cieniu kobiet



Magda Piekarska

Dawno temu w Galicji



Maciej Wojtyzsko

Mrożek i inni



Mirosław Kocur

Halucynacje Wandy

BĄDŹ NA BIEŻĄCO



wzrastania jak w cieplarni". Swoją drogą, nawet samo to wzrastanie – jak dowodzi bestseller Petera Wohllebena *Sekretne życie drzew* – potrafi przy odpowiednim podejściu wciągnąć i zafascynować. Twórczynie jednak nie bawią się w przyrodników z programu Discovery. Zamiast tego wolą bawić się językiem. Kreatywnie przekładają sprawy ludzkie na umowny leksykon kwiatów, traw i krzewów. Tak powstaje zarówno całkiem prześmiewczy WoodWideWeb, jak też poważniejsze refleksje na temat ludzi-chwastów.

Powstał więc skromny, kameralny spektakl o poważnych i globalnych trendach, mający szanse spodobać się nie tylko publiczności młodzieżowej, której w większej mierze został zadedykowany. Jest w nim coś z bajki, coś z musicalu, coś z kabaretu, teatru formy, a nawet z beckettowskiej atmosfery niemogącego się spełnić oczekiwania. Jego prostota, chwilami też naiwność, raczej nie drażni. Cieszy natomiast brak dydaktyzmu i lekka autoironia. Dzięki nim pod koniec przedstawienia przyszedł mi na myśl inny stand-uper, nieżyjący już klasyk gatunku, George Carlin. Dokładniej, jego żartobliwe wyznanie, że woli stać się czcicielem Słońca. Czegoś, co rzeczywiście widzi, co daje mu ciepło, życie, jedzenie i kwiaty w parku. A najważniejsze, nie uważa go za niegodnego grzesznika, który będzie smażył się w piekle. Nikogo, rzecz jasna, nie zamierzam nawracać na pogaństwo. Nie czynią tego też Kowalska i Sołtanowicz. Podejrzewam, że zależało im przede wszystkim na tym, żeby zwrócić uwagę naszych zmęczonych od ekranów oczu na to, co nie składa się z niekończących się sekwencji zer i jedynek. Trochę jak w znanej piosence Jonasza Kofty, może zupełnie staroświeckiej i nieatrakcyjnej dla nastolatków, ale wiernie puentującej ten wątek w swym pięknym refrenie:

*Pamiętajcie o ogrodach
Przecież stamtąd przyszłście
W żar epoki użyczą wam chłodu
Tylko drzewa, tylko liście*

23-10-2020

Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu
Miejskie ziółka
reżyseria: Natasza Sołtanowicz
scenariusz: Joanna Kowalska, Natasza Sołtanowicz
dramaturgia i tekst piosenek: Joanna Kowalska
aranżacja muzyczna: Grzegorz Bieńko
scenografia i kostiumy: Marianna Syska
przygotowanie wokalne: Tomasz Leszczyński
obsada: Joanna Osyda, Karol Kossakowski, Kacper Sasin
premiera: 03.10.2020

JOANNA KOWALSKA NATASZA SOŁTANOWICZ OPOLE

TEATR IM. JANA KOCHANOWSKIEGO

Miejskie ziółka, reż. Natasza Sołtanowicz, Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu



Fot: fot. HaWa



Oglądasz zdjęcie 1 z 7

Bądź na bieżąco, dołącz do naszego newslettera



Nie jestem robotem



reCAPTCHA
Prywatność - Warunki

Dołączając akceptujesz naszą politykę prywatności oraz warunki korzystania z portalu zawarte w regulaminie.

Projekt „Ogólnopolski portal Teatralny.pl” jest finansowany ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programów MKiDN, priorytet TEATR



Przeczytaj

Świat
Nadesłane
Książki
Varia
Felietony
Historia teatru
Ludzie
Rozmowy
Opinie
Recenzje

Inne

Biblioteka
Redakcja
Patronaty
Współpraca
Szkoła
Kontakt

Znajdziesz nas też tu:

Facebook